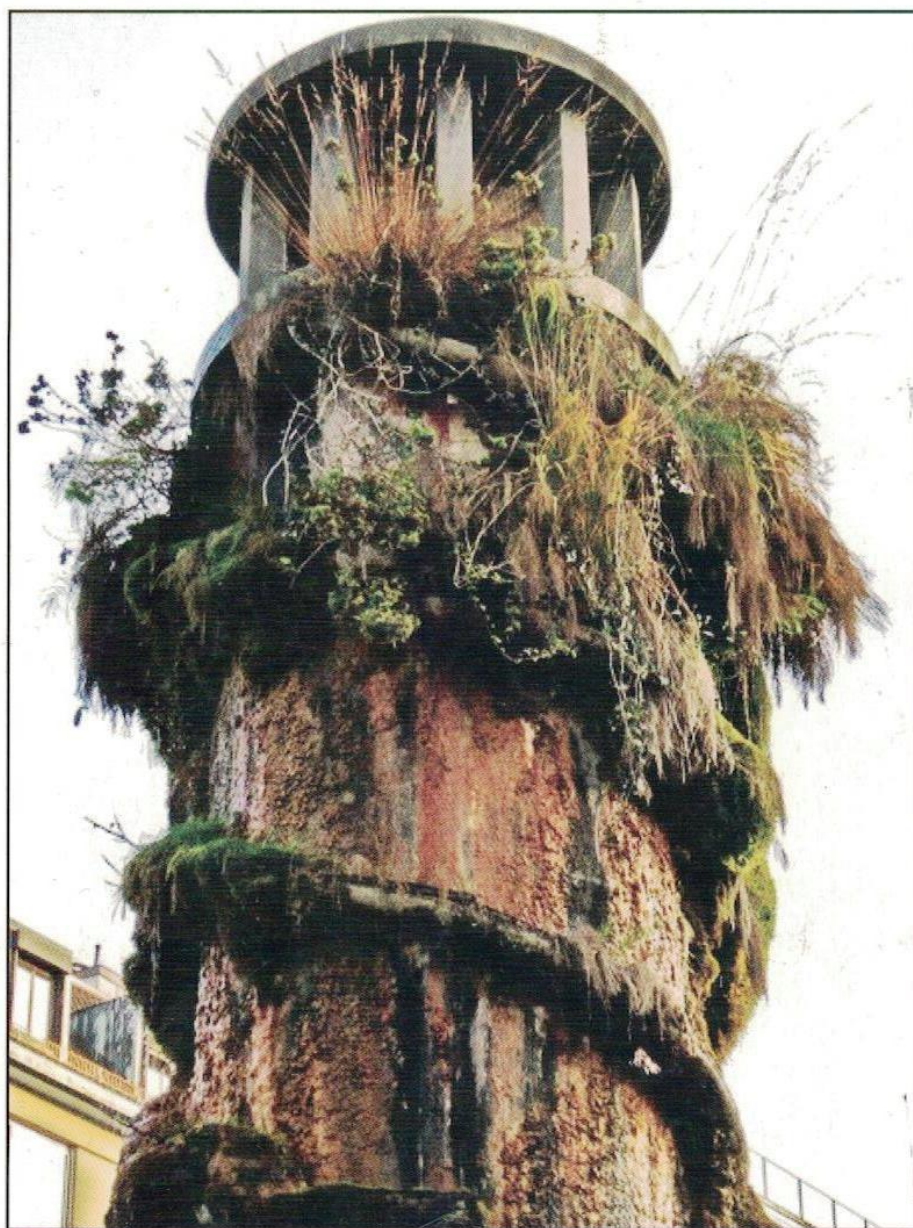


# o odra

miesięcznik

7-8

lipiec-sierpień  
rok MMXIII/2013



ISSN 0472-5182



07

Nakład 2000 egz.

Nr indeksu 36763X  
cena 9 zł (z VAT 5%)

**GAJZIŃSKI o znudzeniu Platformą • Niemcy przed wyborar  
WITOLD GOMBROWICZ: LISTY do Nowaka-Jeziorańskiego  
GRINBERG o Gombrowiczu • KOZIELECKI o Wilni  
Meret Oppenheim • Metafizyka u Filipowicza • W.S. MERW  
LIPSKA • BARAN • SHAFAK • JERGOVIĆ • 8 ARKUS**

# MÓJ MAŻ KORNEL

Justynie Gorzkowicz opowiada Maria Próchnicka-  
-Filipowicz

28 lutego minęła dwudziesta trzecia rocznica śmierci Kornela Filipowicza – jednego z najwybitniejszych autorów krótkich form literackich, współtwórcy wraz z braćmi Różewiczami, Tadeuszem i Stanisławem, nieformalnej grupy artystycznej „Miczura-Film”. Maria Filipowicz, z domu Próchnicka, wspominając męża, mówi, że połączyła ich literatura i miłość do przyrody, a później syn – Marcin. Ale w Krakowie mieszkać nie chciała.

## ■ PIERWSZE SPOTKANIE

Poznanie męża zawdzięczam rodzinie Różewiczów, a konkretniej Tadeuszowi Różewiczowi, który nie chciał, żebym była sama. No, widocznie stwierdził, że czeka mnie już tylko to, bo byłam osobą w lecjach posuniętą, miałam ponad trzydzieści lat i do tego panienka. Z Tadeuszem mieliśmy bardzo przyjacielskie stosunki, trochę się mną opiekował. I pewnie uknuł ten plan. Gdy zachorowałam na żółtaczkę zakaźną – a byłam w szpitalu w Łodzi, potem wysłano mnie do sanatorium w Długopolu-Zdroju – Tadeusz powiedział Kornelowi, że ma znajomą, która przebywa w sanatorium i jest miłośniczką jego pisarstwa. Za namową Tadeusza Kornel przesłał mi książkę z dedykacją: *Pani Marii Próchnickiej w nadziei poznania jej osobiście*. Dziękując mu za prezent, włożyłam do listu kwiatek, który nazwałam „krokusem”, na co on odpowiedział kartką, w której napisał: *Jako przyrodnik muszę sprostować, że nie jest to krokus, ale zimowit jesienny*.

I rzeczywiście, po powrocie z sanatorium doszło do spotkania. Tadeusz przyjeżdżał do Łodzi, do swojego brata Stanisława – reżysera, bywał tu także Kornel. No i pewnego dnia przyszedłam z siostrą odwiedzić ich (była to zna-

jomość jeszcze sprzed wojny) i wtedy Tadeusz, wskazując na mnie, powiedział: *Moja znajoma, o której ci opowiadałem*. Tak się poznaliśmy. Pamiętam, miałam na sobie bluzkę, śmiałam się, że zrobioną z halki, bo była ozdobiona pięknym haftem. Kornel zapytał potem Tadeusza, o którą z nas chodzi – mając może nadzieję, że o moją siostrę, ponieważ była osobą szczególnie atrakcyjną i miała wielkie powodzenie u panów – a okazało się, że chodzi o mnie, czyli o tę drugą. Siostra rzeczywiście bardzo się mu podobała, była bardzo kokieteryjna w przeciwieństwie do mnie, ja byłam „na dystans”. To było lato, nie pamiętam już którego roku, chyba tak na początku lat sześćdziesiątych. Później jednak nie mieliśmy ze sobą kontaktu przez dłuższy czas. Niestety tak się zdarzyło, że dotknął mnie nawrót choroby, i na wiosnę znowu znalazłam się w Długopolu. Kornel przesłał mi tam swoją drugą książkę, a w niej napisał *Pani Marii*. Przyjeżdżał później do mnie, do Długopola.



Maria Próchnicka-Filipowicz, nad Wartą..., 1962



Chodziliśmy na długie spacery. Zatrzymywał się w Bystrzycy Kłodzkiej.

Wyruszyliśmy potem kilka razy z Kornelem na rejsy Bugiem i Wartą. On był kierownikiem tych wypraw. Towarzyszył nam często Mietek Szczerski, który był przyjacielem Kornela jeszcze z Cieszyna. Mieszkaliśmy tam pod namiotami, łowiliśmy ryby i cieszyliśmy się pięknem przyrody.

### ■ NASZE ŻUCHOWICE

Pochodzę ze znakomitej rodziny, nie chodzi o herby czy bogactwo, po prostu moja rodzina była ogromnie zgodna i o dużej kulturze. Ojciec był lekarzem weterynarii, z zamiłowania zaś przyrodnikiem. Matka była nauczycielką muzyki, ale nie uprawiała swojego zawodu. I mimo że wiele ich różniło – bo matka pochodziła z zamożnego domu, a ojciec z wielodzietnej rodziny, bardzo skromnej – to małżeństwo było dobre. Była nas trójka rodzeństwa, panowała między nami ogromna zgoda, mimo różnicy wieku. Mój brat, najstarszy, urodził się w 1917 roku, moja siostra w 1920 roku, a ja w 1928. Ojciec pracował początkowo w Kieleckiem. Urodziłam się tam, w Wierzbniku, moja starsza siostra również.

Później doszło do tego, że ojciec zacisnął pasa i kazał nam również pasa zacisnąć. Zbierał dla rodziny pieniądze. Najpierw wziął w dzierżawę pewien folwarczek, potem już na własność go zakupił. To były Żuchowice koło Gorzkowic. Jest tam do dziś piękny spichlerz, podobnie jak inne budynki gospodarcze, wykonany z kamienia polnego. Matka, chcąc pomóc ojcu w spłaceniu długów, bo na kupno Żuchowic zapożyczył się, dała ogłoszenie do gazety, że przyjmuje letników. Mieszkaliśmy wtedy na

*Żuchowice 1960*



stałe w Radomsku. I rzeczywiście wiele osób się zgłosiło. Przeważnie była to rodzina, przyjeżdżali też koledzy brata, czasem koleżanki siostry i dalsi znajomi. Żuchowice miały powodzenie, bywało u nas wiele osób.

Jeszcze przed wojną przyjeżdżał do nas Janusz Różewicz. Był kolegą szkolnym mojej siostry i jej wielką sympatią, z wzajemnością zresztą. Po wojnie bywali państwo Różewiczowie, to znaczy ojciec i matka tych trzech bardzo uzdolnionych młodzieńców, z których pozostał już tylko Tadeusz, parę lat starszy ode mnie. Dostałam kiedyś od niego jego zbiorek pod tytułem *W łyzce wody* i była tam taka zabawna dedykacja: *Pannie Marysi, która nie jada pierogów z jagodami*. Rzeczywiście ich nie znosiłam.

Nie znałam swoich dziadków, ale przyjeżdżała latem siostra mojego dziadka z Próchnickich – Sumińska. Nazywaliśmy ją „Babcunia”. Jej wnuk – Michał Sumiński – miał pogadanki w telewizji o zwierzętach.

Moją wielką pasją był teatr. Już będąc w Łodzi dowiedziałam się, że jest zespół teatralny prowadzony przez profesjonalistę i wstąpiłam do niego. Odbyło się kilka spektakli w Łódzkim Domu Kultury, dawniej Wojewódzkim. Jeśli się nie mylę, z *Ruchomymi piaskami* Chojnowskiego wyjeżdżaliśmy do innych miast, na przykład do Łowicza, byliśmy nawet w Zakopanem. A przedtem, mieszkając jeszcze w Krakowie, na studiach, chodziłam na spotkania, które nazywano „lektoratami wymowy”. Były one prowadzone przez nie byle kogo. Instruktor, który się nami opiekował, Jerzy Ronald Bujański, był aktorem, reżyserem i wicedyrektorem Radia Krakowskiego. Próbowałam kiedyś zdawać do Szkoły Aktorskiej, ostatecznie jednak ukończyłam historię sztuki, która

też bardzo mnie interesowała. Najpierw w Krakowie – pierwszy stopień, potem dojeżdżałam do Warszawy. U profesora Starzyńskiego napisałam pracę magisterską na temat malarstwa portretowego Piotra Michałowskiego.

Około roku 1939 nasze mieszkanie w Radomsku zostało zlikwidowane i przenieśliśmy się na wieś. Podczas wojny zamieszkaliśmy znowu w Żuchowicach. Było skromnie. Uprawiało się buraki cukrowe, gotowało się z nich syrop i nim sma-



rowało chleb. Moja siostra hodowała króliki angorskie, potem czesało się ich wełnę i ona robiła czapki i sweterki. Uprawiało się także len, żeby mieć kawałek swojego płótna. Ukrywał się u nas oficer, oczywiście pod zmienionym nazwiskiem, pomagał nam w gospodarstwie. Pewnego dnia ojciec został aresztowany. Zginął w Oświęcimiu...

Po wojnie do Żuchowic przyjeżdżał Kornel. Pamiętam, jak kiedyś umówiliśmy się. Wysłałam po niego na dworzec w Gorzkowicach, no i szliśmy na piechotę, stamtąd jest 2,5 km do Żuchowic. Mam nawet takie zdjęcie, zrobione przez niego w tych okolicach, z dziewczanną. Jest powiedzenie: „Gdzie rośnie dziewanna, tam bez posagu panna”. Potem Kornel napisał do mnie list, bo uważał, że to jest jedyna możliwość, żeby przedstawić się mojej mamie. Tam napisał coś takiego, z przekreśleniami: „że ludzie poznają się i pobierają w zakresie jednej klasy wieku i urodzenia, a to wszystko przemawia na korzyść Pani”. Miał niebywałe poczucie humoru.

Kiedyś złamałam przy nim nogę. Biegłam w domu przez korytarz. To duży dom, są wysokie progi i jakoś niefortunnie upadłam. Pojechaliśmy wtedy razem do Piotrkowa do lekarza – noga znalazła się w gipsie. Kornel woził mnie wszędzie na takim śmiesznym małym wózeczku, był bardzo opiekuńczy. Lubił zbierać grzyby, często chodziliśmy na nie razem. Potem, gdy urodził się już Marcin, mama zaprosiła na święta Kornela z jego synem Aleksandrem z pierwszego małżeństwa. Al, bo tak na niego mówiliśmy, był już wtedy dorosłym młodzieńcem.

#### ■ ŻYLIŚMY W ROZJAZDACH

Nasze małżeństwo było „dojazdowe”. W okresie, nazwijmy to, narzeczeństwa czy bliższej znajomości jeździliśmy: ja do Krakowa, a on z Krakowa do Łodzi. Była mowa o zamieszkaniu wspólnym w Krakowie, zwłaszcza gdy pojawił się Marcin. Tam było duże mieszkanie Kornela i jego pierwszej żony – sławnej i bardzo dobrej malarki [Marii Jaremy], kiedyś jej pracownia. Kornel powiedział, że postawi ściankę działową, ale ja jakoś nie mogłam się zdecydować. Jednak odgrywała rolę ta spora różnica wieku między



Maria Próchnicka-Filipowicz, Żuchowice 1960, fot. z archiwum rodzinnego

nami. Kornel był bardzo rygorystyczny i trzeba go było słuchać, nie znosił sprzeciwu. Był osobą, która też bardzo dużo przeżyła. Był przecież w obozach koncentracyjnych. Był wysokim mężczyzną, ale po wyjściu z obozu ważył 50 kg, więc proszę sobie wyobrazić, jaki był wyniszczony fizycznie, no i psychicznie. Najpierw znalazł się w celi w więzieniu na Montelupich, potem został wywieziony do obozów koncentracyjnych – Gross Rosen i Oranienburg, wiadomo, co tam się działo. Przed decyzją wspólnego spędzenia życia wahałam się. Była tak ogromna przepaść między nami, między środowiskami, w jakich żyliśmy. Kornel przedstawiał mi różne osoby, poznałam profesor Hannę Rudzką-Cybisową, Nowosielskiego, Jonasza Sterna. A ja byłam osobą tak nieśmiałą, że nie widziałam siebie w tej roli, w tym mieszkaniu zupełnie. To był inny świat. Poza tym z Łodzi miałam dużo bliżej do mamy, do Żuchowic, do siostry też dobre połączenie, niedaleko Warszawy przecież. Nie zdecydowałam się na to. Zważywszy, że przecież... ukochany bardzo syn Aleksander, z pierwszego małżeństwa Kornela, nie mieszkał z rodzicami..., bo oni pracowali, byli zajęci. Nie wyobrażałam sobie takiego życia. W Łodzi miałam swoje przyjaciółki, z którymi pracowałam w Muzeum Sztuki. Z tymi, które jeszcze żyją, przyjaźnię się do dziś. W Krakowie w zasadzie miałam tylko kuzynkę, u której mieszkałam podczas studiów. No, ale gdyby nasza znajomość z Kornelem nie trwała dłużej, nie byłoby Marcina, naszego syna, niczego więc nie żałuję. Teraz myślę, że Kornel był dla mnie kimś ważnym, ale wtedy nie umiałam się zdecydować. Wiem też, że i ja odegrałam ważną rolę w jego życiu. On bardzo przeżył śmierć swojej pierw-



szej żony. Długi czas nie mógł dojsć do siebie. W końcu poznał mnie i jego życie znów nabrało rumieńców. Powiedział mi nawet: „No, wyciągnęłaś mnie z tego”.

Jak pojechaliśmy z synem pierwszy raz do Krakowa, żeby poznała go jego babcia Stanisława – to znaczy matka Kornela, która z nim mieszkała – Marcin był jeszcze w beciku. Kornel też przyjeżdżał do Łodzi czy Żuchowic na wieś i stąd też fotografie Marcinowe z dzieciństwa. Kornel robił dobre zdjęcia, był trochę takim fotografikiem-amatorem, zawsze ładnie mnie kadrował. Mamy też z Kornelem kilka wspólnych zdjęć, bardzo udanych. Ale powiedziałam kiedyś Wisławie [Szymborskiej], którą zresztą bardzo lubiłam, że my nie mamy tak pięknego zdjęcia, jakie mają oni, że są tak bardzo razem i to się czuło. Ja nie byłam zazdrosna i nawet nie brałam pod uwagę jej wysokiej pozycji, że tak powiem. Była porządnym, dobrym człowiekiem, co dla mnie jest przeogromnej wagi. Myślę, że ona też nie mogłaby powiedzieć o mnie złego słowa.

*Opracowała Justyna Gorzkowicz*

**RED.:** Maria Próchnicka-Filipowicz zmarła 6 maja br.

*Pod namiotem, nad Wartą 1962*

